

Pokochała Polski

Nina Andrycz z okazji swojego scenicznego jubileuszu wspomina artystów, z którymi spotkała się w teatrze

Co pani uważa za najszczęśliwszy zbieg okoliczności w swojej karierze?

To, że nigdy nie musiałam terminować. Skończyłam bowiem szkołę nie im. Aleksandra Zelwerowicza, ale szkołę, którą prowadził, jeszcze względnie młody, pełen siły, energii i witalności Aleksander Zelwerowicz. Są to dwie zupełnie różne szkoły. Byłam tak przygotowana głosowo i dykcyjnie, że kiedy weszłam do wspaniałego zespołu Teatru Polskiego, nie razłam, mogłam partnerować od razu najwybitniejszym artystom. Podczas debiutu miałam zaszczyt grać z Józefem Węgrzynem, najpiękniejszym głosem sceny polskiej; takiego głosu nie słyszałam już nigdy. W następnym roku występowałam u boku pani Marii Przybyłko-Potockiej, primadonny tego zespołu. Drugim szczęśliwym zbiegiem okoliczności w mojej karierze było to, że zetknęłam się od razu z plejadą największych reżyserów, nie tylko w wymiarze polskim, ale także europejskim. Reżyserowali mnie od debiutu m.in. Leon Schiller, Aleksander Węgierek, później Edmund Wierciński.

Co panią, jako aktorkę, najbardziej interesuje w naturze ludzkiej?

Człowiek i jego najgłębsze, najistotniejsze sprawy, które się nie starzeją. Starzeje się moda, obyczajowość, nawyki, natomiast miłość, śmierć, honor, litość, współczucie, nie przemijają, one są w każdej generacji odczuwane. Aktor ambitny, rozumny, jeśli ma odpowiedni tekst, gra

Szekspira, Schillera, Calderona, Puszkina, Mickiewicza, Słowackiego może przekazać i zrywy młodości, i lęk przed przemianami, śmiercią, i współczucie, i tolerancję — namiętności, bo one są najcudowniejszym materiałem dla aktora.

Funkcjonuje opinia, że pani reżyseruje samą siebie. Czy zgodziłaby się pani z nią?

W jakimś sensie tak. Każdy czło-

wiek dochodzi z biegiem lat do autokrytycyzmu. Składają się na to jego doświadczenia, lektury, ambicje. Wszyscy w jakiś sposób kreujemy swoją linię życiową i artystyczną — one się łączą. Z życia aktorzy czerpią budulec, prawdę roli. Gdybym w życiu nie kochała, to jak mogłabym kochać na scenie? Byłabym sztuczna, nieprawdziwa. Gdybym w życiu nie walczyła, nie wie-

W stanie zapalnym wyobraźni

W sześćdziesiątym sezonie Niny Andrycz na scenie Teatru Polskiego będziemy mogli oglądać ją w „Krzesełach” Ionesco. — Do tej pory zetknęłam się tylko z awangardą polską, Mrożkiem i Gombrowiczem. W sztuce Ionesco ja i mój partner Ignacy Gogolewski występujemy po raz pierwszy — mówi Nina Andrycz. — Można dyskutować, czy Ionesco jest jeszcze awangardą. Reżyser Maciej Prus uważa, że jest to już klasyka.

Sztuka grana jest jako psychologiczny komediodramat. Opowiada o dwojgu ludziach — wrażliwych, inteligentnych, zagubionych w dzisiejszych czasach. W młodości nie powiodło im się, świat ich odepchnął. Z tęsknotą i goryczą mówią o Paryżu, mieście, które ich nie przyjęło. — Albo nie mieli talentu, albo byli słabi — mówi Nina Andrycz. — Nie byli wystarczająco drapieżni, żeby się przebić.

Mąż to typowy inteligent. Ona, też inteligentka, jest bardzo wrażliwa. Obydwoje są ludźmi o kolosalnej sile wyobraźni. On pracuje jako portier w jakimś gmaszysku nad Sekwaną. Ona nie traci wiary w to, że mąż jest wybitnie uzdolniony i napisze orędzie zmieniające oblicze świata.

Ich życie jest puste, smutne i trudne. Siłą własnej wyobraźni stwarzają inny świat, życie zastępcze. Wydumują sobie gości. Odwiedza ich wymagowany pan pułkownik, bardzo piękna, wytworna dama. W ich mieszkaniu pojawia się nawet Jego Cesarska Mość, który ma odmienić całkowicie losy małżeństwa. — Oni są w stanie zapalnym wyobraźni — określiła Nina Andrycz. — Coś w naszym życiu przypomina mi sytuację z tego przedstawienia. Jest to spektakl o kondycji ludzkiej — dodała. Premiera 7 grudnia.

LAW

działabym, jak to robić na scenie.

Co pani dało aktorstwo i teatr?
Teatr jest dla mnie najłatwiejszą formą służenia ludziom.

Jeśli kiedy jadę autobusem, jakaś pani o siwiejących skroniach wyciąga do mnie ramiona i na cały autobus mówi: „kochana Solange” (wymienia moją rolę sprzed czterdziestu paru lat), to znaczy, że ja w niej w jakiś sposób żyję, że ja jej coś z siebie daję. Takich pań spotykam bardzo wiele; panów zresztą też. Teatr dał mi właśnie tę więź z ludźmi. W inny sposób nie dotarłabym do tak wielu. Dzięki teatrowi telewizji zbłądziłam nawet pod strzechy — dosłownie. Pisały do mnie małe miasteczka, wsie. Teatr mnie osobiście dał autoterapię przy rozmaitych wstrząsach życiowych. Wykształcił we mnie ogromną dyscyplinę. Potrafię zagrać z chorymi oskrzelami, grypą. Gram, dopóki mogę mówić...

A co odebrała?

Rozmaite przyjemności z bocznych ścieżek życia. Straciłam kilka bankietów, flirtów, wyjazdów. Moja nieżyjąca już gospośka, chłopka z Białostockiego, mawiała do mojego małżonka: — Przecież pan się ożenił z Teatrem Polskim. Niech pan to wreszcie zrozumie! No i w rezultacie zrozumiał.

Można powiedzieć, że pani też „ożeniła się” z Teatrem Polskim.
To trwa dłużej, niż by mogło trwać normalne ludzkie uczucie. Ludzkie uczucie zszarzałoby, może by nastąpiła jakaś zdrada, rozejście lub rozczarowanie, a w pracy twórczej nie ma rozczarowań. Mogą być



Nina Andrycz w jubileuszowym sezonie na scenie Teatru Polskiego Fot. J. MARCZEWSKI

drobne niepowodzenia, ale mimo tego starzy rzeźbiarze ciągle rzeźbią, starzy tracący wzrok malarze jeszcze malują, a muzycy komponują.

Czy miała pani kiedyś pokusę, żeby na dłużej związać się z innym teatrem?

Nie, mnie tu było bardzo dobrze. Kiedy było mi źle, ratunku szukałam w teatrze telewizji albo wyjeżdżałam na występy gościnne. W teatrze telewizji miałam

przyjemność pracować z Konradem Swinarskim. Wspominam go z czułością, bo powierzył mi wspaniałą rolę w „Psie ogrodnika”. W telewizji poznałam młodego, w rozkwicie talentu Adama Hanuszkiewicza, młodzieńczego Jerzego Gruzę, Antczaka, Ludwika Rene. Cóż z tego, że w Teatrze Polskim była posucha, kiedy obok jej nie było.

Dziękuję za rozmowę.

IWONA ŁAWECKA